

O_KAZ

Literatura o Kazimierzu

No3

WERONIKA MUREK

WERONIKA MUREK

KAŻDEMU PO RAZIE

– Do butelki nigdy bym nie
strzelił – powiedział mężczyzna. –
Już prędzej do człowieka.

Popatrzyli ponad ladą strzelnicy, zastawioną
oszczędnie jak za sprawą szyboletu czy
krótkiego rozkazu: ananasem, jabłkiem,
błękitną butelką. Z odległości kilku metrów
celowała do nich kobieta, uczesana niby
faun – z przedziałkiem pośrodku głowy.

- To jest *Lato w szisbudzie* – odezwał się chłopak; odstąpili na dwa kroki od obrazu i przeszli w stronę kuchni. – Widok na ulicę Dajwór.

- Nie mówię, że brzydkie – odparł tamten. – Mówię, że niepraktyczne.

- To właściciel zawiesił.

Na ścianie naprzeciwko drzwi zawieszono plastikowe poroże, wokół którego omotano lampki choinkowe, rzucające na ścianę punkty czerwonego, lepkiego światła. W kącie obok lodówki ustawiono pusty statyw na keyboard. Mężczyzna uderzył kilka razy w powietrzu palcami jak gdyby o klawisze.

- Kuchnia, widzę, ślepa – powiedział mężczyzna, stając w progu.

- Tak się tylko zdaje. Okna niewielkie, zakryte grubymi zasłonami.

- Nie wiem, czy tylko mnie to dotyka – powiedział mężczyzna. – Na keyboardach z pięknych polskich pieśni, piosenek, piosneczek...

- *Szła dziewczeczka do laseczka.*

- Lub Chopin w spektrum małym.

- Mnie też to dotyka – powiedział chłopak obojętnie. Mężczyzna podszedł do pralki, uniósł i opuścił klapę; w okrągłym lusterku mignęła jego dłoń, potężna i smągła, o jasnorożowych paznokciach. Szum w bojlerze ustał, zapaliła się żółta lampka.

- Dawno nie było malowane. W ogłoszeniu pisano...

- To właściciel układał.

- Nie mówię, że brzydko – powiedział tamten. – Mówię tylko: niepraktyczny kolor. Pan wie, jaki to odcień?

- Właściciel malował.

- Kolor zęb papierzany. Ta półka, składana?

- Drewno satynowe.

- Rajcowne – powiedział mężczyzna. – Niepraktyczny kolor. Pan wie, jaki to odcień?

- Zęb papierzany – odparł chłopak. – Właściciel malował.

Przeszli do pokoju obok; w prostokącie wysokiego lustra ustawionego pod ścianą przesunęły się dwie sylwetki; jedna galeryjna, wykwintna, druga nadgarbiona, pochyła jak czcionka.

– Pan sam mieszka?

– Nie – odparł chłopak – jest kobieta; jeszcze.

Stanęli pod ścianą, obok palmy doniczkowej i skórzanej rogowej kanapy wyglądającej niczym wąż zrzucający skórę; do połowy naciągnięto na nią czarny pokrowiec, wobec którego obicie nabierało barwy ludzkiego ciała. W odbiciu pojawił się teraz czarny kwadrat okna, ukośnica, parapet – zręczna sztuczka lustra i wątpliwego miejsca; trzy pary butów różnego rodzaju: męskie, schodzone, z wąską cholewą wywinętą do zewnątrz jak liść tulipana i ze sznurówkami związanymi niby supeł żeglarski; damskie, zamszowe, z metalową szpilką o białym połysku ścierającym się ku flekowi tkwiącemu w brunatnym, suchym błocie; wreszcie trzecie – lalczyne, zapinane na cienki, zmięty pasek.

– Człap, człap – powiedział mężczyzna. – Buty w oknie sprowadzają do domu odmianę. Lepiej trzymać na ziemi.

– Nie wierzę w takie rzeczy.

– Sprowadzają odmianę – powtórzył mężczyzna, na co chłopak odpowiedział:

– Mielśmy naprawdę – i przebiegł palcami w powietrzu jak gdyby coś wygrywał.

– Lepiej trzymać na ziemi.

Po lewej stronie biurka, w czarnym, połyskliwym pudełku przypominającym tubkę do wywoływania zdjęć trzymano ołówki. Na krańcu jednego z nich zatknięto metalową temperówkę, obok niej ustawiono bordowe jabłko, obite z jednej strony, ogrodnicze nożyce i kawałek jedwabiu przerabianego szychem.

– Dam znać – odparł mężczyzna. – Jestem chyba zdecydowany. Od kiedy się zwalnia?

WERONIKA MUREK

- Może być od zaraz.
- Zadzwoń.
- Ten keyboard – powiedział chłopak, stając za nim – mieliśmy na prawdę.
- Pewno.
- Niepraktyczny chyba zawód, co?
- Proszę?
- Mówię: krawiec to chyba niepraktyczny zawód – powiedział mężczyzna, zapinając kurtkę. – Idzie wam jakoś?
- Pewno – odparł tamten – krawiec społeczeństwu się zawsze przydaje. Kiedy ostatni raz widział pan kogoś nago?
- Mężczyzna podszedł do umywalki, bez słowa przyglądał się teksturówemu obrazkowi przedstawiającemu mężczyznę w białym kitlu; pod spodem niebieskim długopisem dopisano: *gęś białą przyśnić, to nie musi być wyrok.*
- Ja, wie pan – odezwał się mężczyzna, poruszył palcami. – W jednej ręce sznureczki różnych fachów.
- Mieliśmy naprawdę – odparł chłopak, pochylając głowę, jak gdyby czegoś nasłuchiwał.
- Zadzwoń. Ja jestem zdecydowany na pewno, prawie.
- Chłopak zamknął za nim drzwi, a potem wrócił do pokoju; gdziekolwiek wcześniej podziewała się Ewa, znalazła się teraz znów w odbiciu lustra za stołem, za stołem – oczy miała jasne, a usta wilgotne. Na blacie przed nią na białym śniadaniowym papierze leżała wędzona ryba długości przedramienia; dziewczyna sięgnęła po drewniany patyczek, którego używała przy lustrze do oglądania gardła, i dociskając rybią głowę dwoma palcami, niby przy mierzeniu pulsu, podniosła nieco jej kręgosłup i oddzieliła go od ciała.
- Jest zdecydowany prawie – powiedział chłopak. – Na pewno; jest zdecydowany.

- Nie wyszło mi pranie.
- Zadzwoni, obiecał.
- Wyszło mi gorzkie pranie. Wszystko do wylania.
- Powiedział: na pewno, prawie.
- Nic się nie udaje.
- Jemu nie przeszkadza, że kuchnia jest ciemna. Jemu się tutaj podobają.
- Jeszcze raz nagrzeję, chcesz?
- Trzeba zacząć się zbierać – powiedział. – Gdzie jest to pudełko?
- Jakie teraz chcesz pranie? – spytała. – Kolorowe czy czarne?
- Czarne było ostatnio.
- Ciągłe jest czarne ostatnio.
- Gdzie jest to pudełko?

Sprowadzili się na ulicę Józefa przed kilkoma miesiącami, mieli przez jakiś czas w zwyczaju chodzić do sklepu z pachnidłami; Ewa opowiadała mu o znajomej, która wydawała w tym miejscu ogromne pieniądze, żeby poczuć, że żyje – kobieta, którą zostawił mąż, musi pachnieć inaczej niż kobieta, której mąż nie odszedł, to jasne; każde ludzkie wcielenie ma inny zapach i upodobania, więc i Ewa zaczęła się pochylać niżej jeszcze nad buteleczkami, tak aby coś poczuć – może nie życie jeszcze, jeszcze daleko do takich szaleństw, ale ulgę, że przejście między wcieleniami i dla niej jest możliwe – punkt wznowienia gry w hokeju, jak to się nazywało?

Ponad wszystko uważa, że przyszła na świat od strony ogrodu. Nie jest pewna, czy bosy – na pewno odejdzie w butach, zdążyła już o to zadbać.

Jeśli człowiek chce brać drzewa na poważnie, a chce brać drzewa na poważnie, jeśli chce brać ziemię na poważnie, a chce brać ziemię na poważnie, jeśli chce brać podmuch wiatru na poważnie, a chce brać

WERONIKA MUREK

podmucha wiatru na poważnie – musi dopuścić do siebie myśl, że na świat mógł przyjść od strony ogrodu. Dlatego ona dopuszcza.

O tym podmuchu wiatru trzeba jeszcze raz wspomnieć, bo to był czas, w którym historia przypadkowego zrywu, odchylenia, frycowego płacznego spokojnej przyrodzie przynosiła im ulgę, potwierdzając istnienie szczęśliwego przypadku, losu, który bierze odwrot, a nie odwet, który sprawia, że czyjś kapelusz ląduje pod stopami kogoś, kto ma władzę zmiany – zmiany czyjegoś życia. To mogliby być oni, tak niewiele zawsze brakowało. Że ktoś nie nosi kapelusza, to jeszcze nie przeszkadza, że nie przechodzi nigdy ten ktoś, kto ma władzę, to jeszcze nic nie znaczy, jeśli tylko wiatr jest pomyślny – a przecież nigdy nie jest. I jeśli zarabiali coraz mniej, to on bardziej się starał, i jeśli zarabiali coraz mniej, to ona rezygnowała – z kawy, z biletów, z dołeczków nad kolanami.

Jeśli przyszła na świat od strony ogrodu, on musiał przyjść z lewego pola. Nie czekali na siebie zbyt długo na świecie, na świecie – zresztą, jeśli kto się na swoją porę nie spóźni, to trafi na świecie na tego, na kogo powinien być trafić: jedno miejsce, jeden czas, jedna osoba, jedno życie – czuła zasada katów; każdemu po jednym razie.

– Powiedz – odezwała się. – Gdzie jest teraz kapelusz?

– Aha – odparł – tyle razy już opowiadałem.

– Nie – rzekła. – Powiedz, u kogo jest teraz kapelusz. Powiedz, pod czyimi nogami. Pod czyimi nogami, powiedz.

– Setki razy już –

– Pod czyimi nogami.

– Gdzie jest to pudełko?

Odchyliła się na krześle i w lustrze zobaczył, że skóra na jej gardle napięta się, a włosy osunęły na plecy.

– Niewysoki mężczyzna – powiedział. – Zwykła twarz. Zwykła twarz, jak w pociągu. Twarz czwartkowa nawet. Twarz widywana często w pociągach i w samolotach.

- Ale ma kapelusz.
- Tak, on ma kapelusz. Ale nie ma niczego, wiesz? Niczego poza tym. I któregoś dnia -
 - I burza, i wiatr.
 - I burza, i wiatr. Bo on miał kapelusz, ale nic poza tym.
 - I ten kapelusz wylądował komuś pod nogami. Bardzo ważnej osobie. Zerwał się i wtedy -
 - Osobie dyrektora.
 - Dyrektora właśnie.
 - I to go uratowało.
 - I wszystkich to uratowało. Gdzie jest to pudełko?
- Pochyliła się nad stołem i szybko dopisała coś na skrawku papieru śniadaniowego. Pismo miała drobne, ukośne, wędrujące w górę, a wobec jej staranności język poruszał się teraz niby stopa dostawiana i odstawiana przez baletnicę.
 - Jeśli nie znajdę tych pieniędzy, będzie po nas.
 - Będzie po nas, a potem wyjedziemy.
 - Wyjedziemy.
 - I nikt nie pojedzie za nami.
 - Nikt nie pojedzie za nami.
 - Powiedz, co się stanie, kiedy wiatr zwieje kapelusz pod właściwe nogi.
 - Różne rzeczy - powiedział.
- Podeszła do okna i w skupieniu spoglądała na ulicę, w skupieniu, bez słowa. Widział jej czarne włosy, czarny sweter, zbyt duże spodnie.
 - Była sobie kobieta o najzwyczajniejszej twarzy - odezwała się. - Zwykła twarz, jak w pociągu. Twarz czwartkowa nawet. Ona miała problemy -
 - Gdzie jest to pudełko?
 - Ale któregoś dnia szczęśliwy zbieg okoliczności.
 - Zbieg okoliczności, wszystko się udało.

WERONIKA MUREK

- I wiatr był, powiedz. Jaki wiatr był?
 - Taki, że głowy urywało. A ona w kapeluszu, popatrz no ją. I idzie, przechodzi -
 - Ulicą.
 - Ulicą, właśnie. I zrywa jej kapelusz prosto pod czyjeś nogi.
 - Starałem się być dobry - powiedział chłopak. - Byłem dobry, bo się starałem, powiedz.
 - Pewno - odezwała się, stając za nim - ty byłeś dobry. - Po chwili dodała: - Zabrał je może, ten facet, słyszysz? Jeśli je ukradł, prędko nie zadzwoni. Jeśli nie zadzwoni, będziemy mogli tu jeszcze zostać.
 - Nie ten, to inny - powiedział. - Gdzie jest to pudełko?
 - Mnie tutaj nie było - odezwała się, stając za nim. - Ja robiłam pranie.
- Na granatowym tle otoczonym złotą, okrągłą ramą wyróżniały się tylko ich twarze: męska, wydłużona, o kształcie, jaki przy obróbce nadaje się kamieniom, i kobieca, surowa, z trójkątnym podbródkiem usianym plamami różowego trądziku. Na wysokości jej czoła dogorywał komar, wprasowany w szkło niczym znak na japońskich szachach. Zadzwonił telefon, twarze wewnątrz złotej ramy drgnęły, a potem usunęły się na boki jak zasłony kurtyny, odsłaniając okrągły, papierowy klosz i sine załamane w miejscu, gdzie ściany łączyły się z sufitem.
- Coś wymyślę - powiedział. - Może nie trzeba się będzie wynosić. Zadzwonię do właściciela, co? Zadzwonię, powiem: jeszcze te dwa tygodnie.
 - Musimy zabrać jej rzeczy - powiedziała. - Możemy wszystko zostawić, ale jej rzeczy musimy zabrać.
 - Jeśli on zadzwoni -
 - Ja nie chciałam tego wszystkiego tylko dla siebie, wiesz?

Zwykle w ciemnościach ludzie się wydłużają - to ich święte prawo; tym wyżej ich ciemność wyciąga, im bardziej chcą się z niej wyrwać.

Tak, jeśli to możliwe, trzeba raczej wdawać się w światło. Liczyć lepsze dni, cieplejsze lata, jaśniejsze godziny. Człowiek musi umieć przepaść, powiedzieć. Człowiek musi się umieć roztrwonić. Musi umieć nie dojeść. Musi umieć nie dospać. Musi umieć nie dopić. Musi umieć robić rzeczy po nic. Musi umieć stracić siły. Musi umieć nie mieć nastroju. Musi umieć spędzać na czymś zbyt wiele czasu, powiedzieć.

– To ty – odezwał się – to ty żeś tak pachniała. To pudełko... ty wzięłaś.

– Bo ja byłam kim innym – powiedziała – a ktoś inny pachniał inaczej, niż ja pachniałam. Powiedz jeszcze o kapeluszu pod nogami – powiedziała. – Powiedz, kto nosił, jaki. Szczegóły, wszystko. Weź, opowiadaj. Była sobie kobieta, powiedz. Była sobie kobieta o czwartkowej twarzy.

– Ja byłem dobry – odparł. – Ja się starałem.

– Raz tylko –

– O tak – powiedział – każdemu po razie.

Po drugiej stronie jezdni uliczni handlarze składali swoje stragany; łożka polowe, na które wykładali zegarki albo pudła z warzywami. Starszy mężczyzna odliczał do woreczka białą fasolę, kobieta przy stole obok rozstawiła pudełka po bananach i poukładała na nich żółtoszare tułowie kurczaków odwrócone do góry brzuchami. W rękę trzymała parasol firmy Marlboro i przechylając się to w jedną, to w drugą stronę, usiłowała je wszystkie uchwycić przed deszczem jak kwoka.

Pomyślał o jej drobnych, błyszczących dłoniach, o dużych żrenicach, rosnących ze zdziwienia czy strachu; pomyślał o jej zachłanności; nie wobec sprzętów czy przedmiotów, ale wobec tych momentów życia, które dotychczas wydawały się jej niepotrzebne i obce; pomyślał o nagłych planach, o podróżach tak tropikalnych, że niemal niemożliwych wobec mapy, o drogich butach, o miejscach, do których nie pasowała, a do których nagle lgnęła, choć nigdy nie było w niej

WERONIKA MUREK

nic ze snobki. Pomyślał o obrusie, o szafie, o prześcieradle, o pościeli, o jasnych sukniach; pomyślał o butach stawianych na parapecie, ustawionych tak, jak gdyby mieściły w sobie stopy niewidzialnego kogoś, kto jednocześnie tkwi z zaciekawioną twarzą przy szybie i spogląda na plac Nowy, jak i kogoś, kto podjął już w życiu wszystkie decyzje. Pomyślał o tym, że jej spokój wydawał mu się przerażający; rozpacz przeszła bokiem, niczego nie oczyściła. Poczul w kieszeni wibracje telefonu, jego dłonie były zimne i mokre.

– Dlaczego ta kobieta może żyć, a mama nie może? – zapytała dziewczyna, spoglądając przez okno. – Dlaczego sąsiad może żyć, a mama nie może? Dlaczego może żyć ten pies, a mama nie może? Dlaczego może żyć ta gęś, a mama nie może?

Człowiek jest uparty jak roślina; chce żyć do góry, do światła.

Zszedł na dół wolnym krokiem, pewnie, spokojnie – nie chciał się sam przed sobą zdradzić, powściągnął ochotę, żeby puścić się ze schodów biegiem, zatrzaskać za sobą drzwi, przesunąć szybko dłonią po zimnej, drewnianej poręczy, pożałować sobie kroków, przeskoczyć po dwa czy trzy stopnie, zbiec na dół, na plac Nowy, rozejrzeć się dookoła, na ludzi ciągnących od strony ulicy Józefa, na ludzi obsiadających niby ptaki małe stoliczki kawiarni, wejść w żółtą, okrągłą plamę światła latarni, stanąć na chłodnym powietrzu, podnieść głowę, raz, dwa, trzy razy – czy w pokoju, z którego wyszedł przed chwilą tak pewny i spokojny, nadal zapalone jest światło? Zobaczy jeszcze jego jasny kwadrat, kształty butów wystawianych na parapecie, może zarys dziewczęcej sylwetki, może skrzydło okna otwarte na oścież, gdyby nie zrozumiała, gdyby nie wiedziała, że on zrozumiał, gdyby chciała go znowu wezwać, zawołać, przechylić się ponad czarnym parapetem.

Zostaw ją, zostaw; po śmierci dojdzie do siebie; wokoło, wokoło, niech chodzi teraz wokoło tego życia, co to je uwiła na cudzej skale, lecz we

własnym domu; niech chodzi sobie teraz dziewczeczka na palcach, niech depta gałęzie, co to je naznosiła, niech je dziewczeczka układa wokół tego nic, do którego staje teraz na palcach – na ciepłej, miękkiej ziemi; do drzew miłych z wyglądu, do drzew rodzących smaczne owoce, do zielonego, ho-ho, do zielonego. Niech wystaje w oknie, niech podnosi palec, niech sobie nazywa, niech mówi: to żywe, to żywe, ta żywa.

– Duża czy mała? – spytał sprzedawca zapiekankę; wetknął głowę w okienko.

– Jak duża jest duża? – zapytał chłopak; sprzedawca uczynił gest rękami, chłopak pokręcił głową. – Jak duża? – sprzedawca odwrócił się i sięgnął po kawałek bułki.

Ekran telefonu rozjaśnił się znowu, numer był nieznan.

– Pan mówi – powiedział chłopak gorączkowo – że da się tym najeść?

– Zależy, czy jest pan głodny. Jest pan bardzo głodny?

– Jak duża jest duża?

– Jeśli pan nie jest głodny –

– Nie jestem – odparł, wkładając rękę do kieszeni – ale chętnie zjadłbym coś.

– Pan nie jest duży chłop – powiedział sprzedawca – mówię: nieduży chłop z pana, może pan da radę i małą się najeść.

– Nie jestem bardzo głodny.

– Może pan wziąć z podwójnym serem. Chyba ktoś dzwoni do pana.

– I dużo sosu – powiedział chłopak szybko. – Jakie pan ma? Proszę dać keczup i majonez.

– Jest jeszcze sos czosnkowy. Ktoś dzwoni do pana.

– Proszę dać sos czosnkowy – powiedział chłopak; oczy mu pociemniały.

– Nie powinni pana zostawiać samego – powiedział tamten. – Jeśli źle się pan czuje albo jest pan pijany... ktoś dzwoni do pana. Może pana szukają.

WERONIKA MUREK

– Nie jestem pijany – znów wsunął rękę do kieszeni, wyciągnął telefon. – Mieliśmy naprawdę – dodał – wie pan? – poruszył kilka razy palcami, jak gdyby uderzał nimi w klawisze pianina.

– Pan musi chwilę poczekać – odparł sprzedawca. – Proszę spokojnie odebrać.

Miał nadzieję, że przechodzi przez ulicę pewnym krokiem; miał nadzieję, że nikt nie widzi wyrazu jego oczu, kilka razy wzruszył ramionami tak, aby nieco je rozluźnić. Musi pamiętać, żeby stawiać pewnie kroki; niechże stukają potężne buciory, sznurówka zasznurowana niby supeł żeglarski, wysoka cholewa, ciemnozielony połysk, obrusy, szafy, prześcieradła, pościel, suknie jasne.

Podobno dzień ma tylko dwanaście godzin; podobno jego nocna strona jest tylko dla wytrwałych. Podobno pierwsze trzy godziny bóg spędza na krześle, na krześle; kolejne nad arkuszem papieru i ponad rubrykami – nie rozlicza z uczynków, tylko z obecności, przegląda osiedliny oraz wyprowadzki; przeznaczenie jest szczelne – czasem daje komuś szansę, zwykle jednak nie daje.

Seria „O_KAZ.

Literatura o Kazimierzu”:

Projekt graficzny, skład, łamanie:

Oksana Shmygol

No 1 Łukasz Orbitowski

Kobra przegrywa w butelkę

Druk:

Know-How Piotr Kaczmarczyk

No 2 Dominika Słowik

Sanatorium

Wydawca:

Stowarzyszenie Festiwal

Kultury Żydowskiej

ul. Józefa 36, 31-056 Kraków

www.jewishfestival.pl

No 3 Weronika Murek

Każdemu po razie

Cheder, kawiarnia

i dom kultury FKŻ

ul. Józefa 36, Kraków

www.cheder.pl

fb:cheder.krakow

Copyright

© Stowarzyszenie Festiwal

Kultury Żydowskiej

Redakcja i korekta całej serii:

Anastazja Oleśkiewicz

ISBN 978-83-938285-8-6

O_KAZ

Literatura o Kazimierzu

Literackie portrety miast lub dzielnic to nie tyle dokumenty, zdające sprawę z historii danego miejsca, ile bardziej teksty stwarzające klimat. Miejska fikcja pozwala lepiej zrozumieć przestrzeń, w której żyjemy, ale również daje szansę, by wymyślić ją na nowo. Zboczyć ze znanych opowieści, zablądzić i obudzić się naprzeciwko budynku, którego wcześniej nie widzieliśmy.

Co XXI-wieczna literatura może powiedzieć o Kazimierzu? Jak go traktuje? Czy dzielnica Krakowa to główny bohater, zagubiona postać z drugiego planu czy raczej tło wydarzeń? Wymyśliliśmy O_KAZ, żeby móc o tym opowiedzieć. Zaprosiliśmy do współpracy trójkę pisarzy: Weronikę Murek, Łukasza Orbitowskiego i Dominikę Słowik, oraz poprosiliśmy ich, by potraktowali nasze pytania jak bazę, punkt startowy.

Weronika Murek – urodzona w 1989 w Bytomiu, absolwentka WPIA Uniwersytetu Śląskiego; autorka sztuk teatralnych nagrodzonych Gdynią Nagrodą Dramaturgiczną oraz Nagrodą za Najlepszy Debiut w Konkursie na Wystawienie Polskiej Sztuki Współczesnej, autorka zbioru opowiadań *Uprawa roślin południowych metodą Michurina* nominowanego do Paszportu Polityki, Nagrody Literackiej Gdynia oraz Nagrody Nike, nagrodzonego Nagrodą im. Witolda Gombrowicza za najlepszy debiut.

Festiwal Kultury Żydowskiej i kawiarnia Cheder powstały na krakowskim Kazimierzu, z inspiracji jego historią i kulturą. Bardziej niż świętem staramy się być procesem – procesem zmian w myśleniu i postrzeganiu żydowskiej kultury oraz zmian na samym Kazimierzu. Interesuje nas twórcza praca w dzielnicy i z dzielnicą, szczególnie że wydaje się ona dzisiaj nieco zagubiona i coraz mniej przyjazna mieszkańcom. O_KAZ to nasz nowy program literacki. Zapraszamy do lektury trzech opowiadań oraz na spotkanie z autorami.

Projekt jest
współfinansowany
ze środków Gminy
Miejskiej Kraków.



krakow
CITY OF LITERATURE
UNESCO

Organizatorzy:

III
CHEDER



Patroni
medialni:

GAZETA
wyborcza

“
**RADIO
KRAKÓW**

ISBN 978-83-938285-8-6